

ANTAL VÉGH

SPOTKANIE



FIKČIE I FAKTY 1/1987

Poeta był młodym mężczyzną, bibliotekarka - kobietą w kwiecie wieku. Nie pierwszej młodości wprawdzie, ale daleką jeszcze od tego momentu, aby wyglądać, a co gorsze czuć się niemłoda.

Pani bibliotekarka była doświadczoną kobietą i to pod każdym względem, choć póki co trwała w swoim pierwszym małżeństwie.

Poeta - jak to poeta, pisywał wiersze i jeździł na autorskie spotkania, z czego zresztą żyła również większość jego kolegów po piórze.

Nie znaczyło to jednak, że można go było ściągnąć, kupić, na byle spotkanie; co to - to nie, szedł tylko na pewniaki i jeśli w trakcie przygotowań organizacyjnych występowała najmniejsza choćby wątpliwość, wówczas natychmiast rezygnował z wyjazdu. Bywało, że w przeddzień spotkania, ba, nawet w tymże dniu, przed południem...

Wszystkie wątpliwości wiązały się ze sprawą wynagrodzenia za spotkanie. A więc, czy zostanie ono wypłacone na miejscu, czy też wysłane pocztą, czy będą sprzedawane bilety wstępu i jaki procent otrzyma autor, a jeśli procent będzie niższy w stosunku do obowiązujących stawek, to czy nastąpi wyrównanie kwoty, czy wypłata nastąpi przed spotkaniem, czy też po zakończeniu wieczoru, względnie, czy pieniądze zostaną przelane przez instytucję do Towarzystwa Krzewienia Oświaty i dopiero stamtąd otrzyma je pocztą?

Nasz poeta nie wdawał się w roztrząsanie tych wszystkich spraw dopiero w dniu i na miejscu spotkania, w nerwowej jak zwykle przed występem atmosferze. Każde jego spotkanie poprzedzała rzeczowa korespondencja, wymiana kilku urzędowych listów plus dwie-trzy rozmowy telefoniczne, w trakcie których wyjaśnione zostały najdrobniejsze szczegóły. A kiedy powstawała najmniejsza choćby wątpliwość, poeta natychmiast zrywał pertraktacje i wycofywał się ze spotkania.

Nigdy, ale to nigdy nie określał wysokości honorarium za spotkanie... Bardzo proszę, naprzód wy zaproponujcie. Jeśli kwota odpowiadała oczekiwaniom, to wtedy wszystko grało! Jeśli nie, to akurat w proponowanym na spotkanie dniu wypadało mu nagranie telewizyjne, udział w radiowej dyskusji lub spotkanie z zagranicznym tłumaczem. Zdarzały się też w trakcie tych pertraktacji nieoczekiwane narady w ministerstwie, względnie wezwania do komitetu centralnego na rozmowę w sprawie opublikowanego właśnie w prasie swojego wiersza!

Kiedy potem z uporem znowu go zapraszano na spotkanie, okazywało się, że ma już wszystkie terminy zajęte. Dwa miesiące naprzód! Bo to Dni Książki, bo to Miesiąc Poezji, musi być do dyspozycji Związku Literatów. Tak, tak, niestety...

I rzeczywiście był do dyspozycji Związku, ale też Związek doskonale wiedział, że nie ma po co organizować spotkania autorskiego, na które nasz poeta pojechałby za... pięćset forintów, do rozliczenia po powrocie.

Poeta chodził w adidasach na grubej, elastycznej podeszwie, w dżinsach oraz długim, opadającym niemal do kolan wełnianym swetrze.

Nigdy też, niczym elegancka dama, która zawsze ma przy sobie torebkę, nie zapomniał przewiesić przez ramię torby z niebieskiego, wypłowiałego płótna.

W tej torbie nosił drobne pieniądze, papierosy, prasę, kartki czystego papieru, kilka długopisów, po jednym egzemplarzu dwóch tomików wierszy, które stanowiły cały jego dorobek twórczy, nie mówiąc o kilku nowych poematach, w maszynopisie upstrzonym licznymi poprawkami. I co na ważniejsze, przekłady robocze, własne oczywiście, wierszy rosyjskich, francuskich, polskich i amerykańskich poetów.

Wygląd zewnętrzny w pełni potwierdzał, że jest poetą. Nigdy nie golił się przed spotkaniami, nie pił, nie jadł i nie zapalił papierosa, póki nie odczytał sobie głośno wszystkich wytypowanych na dane spotkanie wierszy.

Na miejsce spotkania zajeżdżał zawsze taksówką. To znaczy przyjeżdżał pociągiem, autobusem, tramwajem, względnie piechotą dochodził w pobliże tego miejsca, tam odszuki-

wał postój taksówek, a jak miał szczęście, to zatrzymywał przejeżdżającą właśnie wolną takse, i elegancko zajeżdżał na miejsce przeznaczenia.

Dzięki swemu naukowemu podejściu do sprawy spotkań, był w tej materii największym autorytetem w kraju. Nikt nie miał większych doświadczeń.

Po przyjeździe na miejsce zawsze grzecznie zatrzymywał się przed portiernią instytucji lub zakładu, w którym miało odbyć się spotkanie. Gdy przed wejściem nikt na niego nie czekał, zwracał się do portiera, żeby zawiadomił kogo trzeba o przyjeździe poety.

W tym czasie rozglądał się, szukając oczywiście plakatów i zaproszeń na jego wieczór autorski. Nie omieszkał też w pierwszych słowach zamienionych ze zbiegającą ze schodów bibliotekarką pochwalić sposobu zawiadomień.

- Pomysłowe!

- Żeby pan wiedział, jak długo zastanawialiśmy się nad tymi zaproszeniami.

- Ale świetnie wam wyszły!

- Rzeczywiście odniosły efekt. Wywołały ogromne zainteresowanie wśród pracowników. Nawet przewodniczący rady zakładowej nas pochwalił!

- To genialne!

W drodze do biblioteki poeta uważnie rozglądał się, nie przepuścił najmniejszego szczegółu odnoszącego się do jego osoby, ukłonów, zawsze się odklaniał, zainteresowania w oczach. Kiedy na korytarzu przed biblioteką lub w sali, gdzie miało odbyć się spotkanie, dostrzegał swoje eksponowane specjalnie książki, zatrzymywał się, starannie je przeglądał i gdy zauważył jakieś podkreślenie, natychmiast reagował.

- No patrzcie!

- Ten wiersz wszyscy u nas przeczytali!

- Co pani powie!

- Nawet pan nie wie, dla ilu ludzi jest pan tu najbardziej ulubionym poetą!

- Niech pani nie przesadza...

- Zobaczy pan, wszyscy przyjdą. Mamy tu nawet jedną brygadę, która chciała przyjąć pana imię, ale wie pan...

Największe wrażenie wywierały na poecie jednak cytaty z jego wierszy umieszczone w znajdujących się na ścianach korytarzy napisach względnie w gazetkach ściennych. No i ewentualnie wycięte z gazety jego zdjęcia.

Tego dnia bibliotekarka czekała na niego przed portiernią. Hoża, dojrzała, ale jeszcze młodo wyglądająca, jak to już zaznaczono pani, dołożyła starań, żeby znakomicie wyglądać. Wysokie, czarne szpilki, spódnica, biała bluzka zdobiona ludowym haftem i z głębokim dekoltem, dodawały jej szyku. A specjalnie pożyczony od przyjaciółki na tę okazję stanik, bo wśród swoich nie mogła znaleźć odpowiedniego, dodatkowo podnosił jej walory.

Przedstawiła się i z ogromną serdecznością, „gość w dom, Bóg w dom”, przywitała poetę. Poeta swego nazwiska nie wymienił, bo i po co, wszyscy wiedzieli, kim jest i jak się nazywa.

Kiedy zniknęli za zakrętem, portierka zaczęła informować wszystkich: poeta już przyjechał, już jest, poszedł na górę z bibliotekarką, zaraz się zacznie spotkanie...

Bibliotekarka również i w domu wszystko pozalaćwiała jak trzeba; ma spotkanie, więc mąż niech pilnuje dziecka, a teściowa niech zrobi kolację. Ona musi odpowiednio przyjąć gościa. I to nie byle kogo. Poetę!

Na piętrze poeta puścił bibliotekarkę przed sobą, dał się prowadzić przez długi korytarz.

Ależ masz, bestio, piękny tyłeczek - stwierdził w myślach poeta, obserwując prężne kroki swojej opiekunki - i jakie duże, zwariowane piersi... Jaka to szkoda, że nie spotkaliśmy się dziesięć lat wcześniej!

Ba! co to znaczy dziesięć lat wcześniej? Przecież on wtedy był zaledwie powiatowym poetą, początkującym, obiecującym, to prawda, ale nikim więcej. Nie to, co teraz!

- Na spotkanie przyjdzie kierownictwo partyjne i związkowe. Również dyrekcja będzie reprezentowana na całkiem wysokim szczeblu. No i oczywiście wszyscy czytelnicy pańskich wierszy...

Co by się stało, gdybym teraz pochwalił jej dupeczkę oraz cyczuszki - pomyślał poeta - i to głośnym słowem, nazywając rzeczy po imieniu, patrząc prosto w oczy. Ostatecznie można sobie na to pozwolić, jak się jest poetą...

Zdarzało się zresztą, że pozwalał już sobie na to. Różne reakcje bywały na takie dictum. A to skromny uśmiech i zażenowane spuszczenie oczu, a to radosne i wyzywające wybuchnięcie śmiechem, ale i inne również. Oto niedawno w Komarnie w większym gronie zresztą, powiedział coś w tym rodzaju tamtejszej bibliotekarce i omal nie dostał po pysku. Skąd mógł wiedzieć, że wśród obecnych mężczyzn jest również jej mąż? Ledwo go kierownik wojewódzkiej biblioteki powstrzymał...

Biblioteka była przestronna, jasna, porządek na półkach, czystość wzorowa.

- Od początku tego roku jestem tu sama - powiedziała bibliotekarka - dziewczynę, która mi pomagała, przeniesiono do sekretariatu dyrektora.

A cóż mnie to obchodzi, od kiedy ona jest tu sama - pomyślał poeta - i dokąd oraz po co przeniesiono jej pomocnicę.

Kierowniczką biblioteki promieniała radością, dopięła swego, ściągnęła poetę. Jej najlepsza przyjaciółka, bibliotekarka sąsiedniego zakładu pracy, nie chciała nawet wierzyć, że poeta przyjedzie. Jakże inaczej, skoro pół roku wcześniej, mimo całej korespondencji i kilku telefonów, odmówił im w ostatniej chwili. Ten sam!

Powinam teraz zatelefonować do Teci - pomyślała bibliotekarka - powiedzieć jej, żeby wstąpiła na chwilę i poznała mistrza. Niech go zobaczy na własne oczy. Świetny facet, naprawdę świetny, szkoda tylko, że taki młody. Ale ważniejsze, że zewnętrznie prezentuje się jak prawdziwy poeta. I właśnie to wszystko powinna była powiedzieć przez telefon. Tylko jak? Przecież w obecności gościa nie powie tego, a na razie są tu tylko we dwoje.

Czym mu się tu przymilić?

Dostała cztery butelki coca-coli i po dwa opakowania paluszków i chrupków. Wręczyli jej to w księgowości. Honorarium jeszcze nie pokazali, bo główny księgowy jeszcze nie podpisał. Sekretarka głównego księgowego, Vera, obiecała, że sama przyniesie pieniądze i umowę. Żeby poznać poetę.

Bibliotekarka głęboko odetchnęła, obserwując jednocześnie, jak falują jej piersi. Była z siebie bardzo zadowolona, z bluzki, dekoltu, stanika, zauważyła, że poeta przygląda się jej z uwagą. Oddychała więc tak głęboko, jak mogła, zważając jednocześnie, aby nie było to zbyt ostentacyjne.

O czym tu dalej mówić? - zastanawiała się w duchu. Na poruszenie czekały dwa tematy. Można było wyróżnić, kto tu już był na spotkaniach. Względnie powiedzieć, że honorarium przyniesie Vera, jeszcze przed spotkaniem. Od tego czasu główny księgowy na pewno podpisał już zlecenie. Vera przysięgała jej, że położy to zlecenie na samym wierzchu dokumentów do podpisu.

Bibliotekarka ciągle nie mogła rozstrzygnąć dylematu, o czym tu zacznie mówić, kiedy poeta nieoczekiwanie zapytał:

- Przepraszam, gdzie tu można oddać mocz?

Jezus Maria! Poeta i chce oddać mocz! - pomyślała z osłupieniem. Tylko że tu na piętrze nie ma toalety. Jest na parterze. Więc co robić? Posłać go samego na parter - głupio. Zaprowadzić - jeszcze gorzej. Wszyscy będą wiedzieć, że odprowadza poetę do klozetu. Że też ciągle nie ma nikogo z rady zakładowej lub organizacji młodzieżowej. A może po prostu niech idzie na parter i tam się spyta, gdzie jest toaleta?

Z kłopotu wybawił ją telefon.

- Chwileczkę - powiedziała bibliotekarka. - Muszę iść na górę po zlecenie wypłaty. Jest

podpis, są pieniądze... Właśnie dzwoniła Vera, żebym przyszła.

Poeta rozpogodził się. W końcu te tysiąc pięćset forintów to kawał grosza. Zapomniał z radości, że przed chwilą chciało mu się siusiu.

Niemniej bibliotekarka wychodząc zdążyła mu powiedzieć że na parterze znajdzie toaletę.

- Jest smród! - powiedziała Vera na widok bibliotekarki, która wpadła do sekretariatu głównego księgowego na drugim piętrze. - Ten idiota, ten kretyn, ten głupi bałwan - mówiła cicho wskazując palcem na zamknięte drzwi gabinetu głównego księgowego - nie podpisał zlecenia. Wyobraź sobie, odmówił!

Na biurku przed Verą leżały dwa spięte arkusiki, zlecenie wypłaty i umowa. Przekreślone na krzyż grubym flamastrem.

- I zobacz, co on na tym napisał...

Bibliotekarka pochyliła się. Własnoręcznie, atramentem główny księgowy napisał u spodu: „Wała w śmietanie panu poecie, a nie honorarium!”

Bibliotekarka aż krzyknęła z przerażenia.

- Jezus Maria - wydusiła z siebie. - Przecież to skandal! Poeta już przyjechał. A ja zagwarantowałam, że dostanie tysiąc pięćset minus podatek. Pójdę do dyrektora, wyjaśnię. Już ja pokażę temu skąpiradle...

Bibliotekarka nie była w stanie opanować się, mdlała i zataczała się dosłownie. Nie docierały do niej słowa Very, która powtórzyła argumenty głównego księgowego: „Czego jeszcze? W takiej sytuacji gospodarczej? Pieniądze przez okno wyrzucać? Co to, to nie! A pan poeta, jak nie może ze swoich wierszy wyżyć, niech idzie do uczciwej pracy!”

Nim oszołomiona, ledwo przytomna bibliotekarka zeszła na pierwsze piętro, sala niemal całkowicie zapełniła się. Stawili się przedstawiciele wszystkich socjalistycznych brygad pracy z kroniką w ręku naturalnie, żeby towarzysz poeta był tak uprzejmy i się wpisał, byli wszyscy członkowie amatorskiej sceny zakładowej, była reprezentowana dyrekcja, egzekutywa, rada zakładowa oraz organizacja młodzieżowa, ale - jak to bibliotekarka dostrzegła - o jeden szczebel niżej, niż to zapowiadano. Według wszelkiego prawdopodobieństwa rozeszło się bowiem lotem błyskawicy, że główny księgowy nie akceptował spotkania...

Gdy bibliotekarka dotarła do swego pokoiku na zapleczu biblioteki, czekał już tam na nią poeta. Był zadowolony, beztroski i, mimo lekkiego podniecenia, na luzie.

- Możemy zaczynać - powitał bibliotekarkę. - Znakomita publiczność! Cholernie nie lubię pustych sal... - ugryzł się w język. - Czy sam mam zacząć, czy też pani lub ktoś inny mnie powita?

Bibliotekarka ciągle nie mogła dojść do siebie, poruszała się jakby w zaświatach. Przygotowała sobie na piśmie przepiękne przemówienie powitalne, które przedstawiało gościa i było zarazem hołdem wobec jego twórczości. Zdała sobie sprawę, że nie będzie teraz w stanie tego przeczytać! Serce jej pękało. Przez dwa tygodnie pisała przecież te dwie stroniczki. Była nawet w Bibliotece Narodowej imienia Szechenyiego, przejrzała wszystkie recenzje oraz opracowania krytyczne odnoszące się do twórczości poety.

- Może jeszcze trochę zaczekamy - wykrztusiła z trudem. Stwierdziła, ile ma pieniędzy w portmonetce. Doliczyła się siedemdziesięciu trzech forintów. Ruszyła na salę, ale udało się jej w sumie zebrać czterysta pięćdziesiąt forintów tytułem pożyczki...

... i gdzieś w tym momencie rozpoczęło się spotkanie. Nikt nie powitał poety. Natomiast poeta powitał wszystkich zebranych.

W pierwszych słowach poeta zwrócił się z prośbą do szanownej publiczności, żeby pozwoliła mu opowiedzieć życiorys oraz przedstawić własną twórczość. A potem dodał jeszcze kilka słów o dalszych planach i wierszach, które zamierza napisać.

Następnie przyszła kolej na czytanie własnych wierszy. Trzeba przyznać, że publiczność z sympatią zaakceptowała poetę, z uwagą słuchała każdego jego słowa.

W oczach zgromadzonych można było dostrzec błysk zainteresowania, z twarzy odczytać uznanie i radość. A to z kolei zaczęło działać zachęcająco na poetę. Sprytnie tworzył dramaturgię swego spektaklu. Zaczął od wesołych wierszyków, poczem przeszedł do patriotycznych strof, do poetyckich krajobrazów. Wtedy pozwolił sobie na kilka bardzo nowoczesnych, całkowicie niezrozumiałych wierszy. Ale i te zostały przyjęte brawami.

Teraz nastąpił punkt kulminacyjny i poeta uderzył w struny swoich najgłębszych, skrywanych przed ludźmi uczuć. Zaczął recytować wiersze liryczne i erotyki. Dziewczynom zaczęły się pocić dłonie i z każdą strofą bardziej czerwienieć oblicza. Kiedy poeta doszedł do najbardziej intymnych i zarazem najboleśniejszych fragmentów swoich miłosnych przeżyć, nieoczekiwanym, niesłychanie naturalnym, ale i zręcznym gestem otarł spływającą z oka łzę. Od tej chwili już nikt z obecnej na sali płci pięknej, a i niektórzy mężczyźni, nie taili wywołanych opisami miłosnych męczarni wzruszeń. Ronili łzy nawet ci, którzy takich przeżyć nie mieli. Może właśnie dlatego...

Kiedy widownia po tym mocnym uderzeniu jako tako doszła do siebie, poeta odezwał się: proszę bardzo, może macie do mnie pytania, postaram się na wszystkie odpowiedzieć.

Tej usługi poeta nigdy nie odmawiał i odpowiedzi na pytania były żelaznym punktem każdego spotkania, za które otrzymywał tysiąc pięćset względnie jeszcze więcej. Zmuszał się do tych odpowiedzi nawet wtedy, kiedy pytania były banalne i nudne, jak flaki z olejem. Wizja honorarium działała jednak na poetę dopingująco i zdobywał się na precyzyjne, ba, błyskotliwe, pełne emocjonalnego zaangażowania odpowiedzi na byle pytania.

W czasie naprawdę ciekawego i pożytecznego spotkania bibliotekarka przeżywała wprost piekielne męki. Nigdy dotąd nie była w takiej sytuacji. Co będzie po spotkaniu? Boże drogi, kochany, jedyny, co powiedzieć poecie? Że nie ma honorarium... że główny księgowy nie akceptował wypłaty... że własnoręcznie na umowie i zleceniu pozwolił sobie ordynarnie się wyrazić... Czy ma wyciągnąć z kieszeni te siedemdziesiąt trzy własne i czterysta pięćdziesiąt pożyczonych forintów i wręczyć poecie tę wymiętą drobnicę? Żeby to przynajmniej był dzień wypłaty lub kilka dni po nim, ale to akurat koniec miesiąca, pensja za trzy dni, nikt grosza nie ma!

Już nie musiała myśleć o tym, aby głęboko oddychać. Od zdenerwowania pierś jej falowała niczym wzburzone morze, w górę i w dół!

Zadano trzy pytania poecie. Pierwsze, czy wielce szanowny pan, który raczył do nas przybyć na spotkanie, jest żonaty? Drugie, jaką miesięczną pensję ma poeta? Trzecie, jaki jest dziś stosunek poetów do pracy na Węgrzech?

Poeta zakwalifikował wszystkie trzy pytania jako rezolutne, mądre i aktualne. Po czym zapytał, czy ma oddzielnie odpowiedzieć na każde pytanie, czy też powiązać w jedną całość?

Cała sala jednogłośnie odpowiedziała, że niech powie, jak uważa. Więc poeta udzielił pięknych, konkretnych odpowiedzi na każde pytanie. Zanosilo się już, że na tym koniec i wszyscy spokojnie rozejdą się do domów.

Boże drogi - szeptała do siebie bibliotekarka - niech jeszcze ktoś o coś zapyta, żeby się też to spotkanie nigdy nie skończyło, żeby trwało wiecznie...

Oczywiście zarówno poeta, jak i bibliotekarka wiedzieli, że spotkanie jeszcze trochę potrwa, pozostały przecież wpisy do kronik brygad pracy socjalistycznej i dedykacje.

Co też nastąpiło. Kiedy już poeta wpisał się do wszystkich oficjalnych ksiąg, podeszła do niego starsza kobieta z prośbą o zadedykowanie trzymanego w ręce tomu.

- Przepraszam, jak ma pani na imię? Komu mam zadedykować? - zapytał poeta.

- Och, mistrzu. Jakżebym śmiała prosić o coś takiego dla siebie - odpowiedziała kobieta. - To nie dla mnie, lecz dla mego syna proszę! Mieszka w Szwecji. Gdyby to też pan raczył zaznaczyć, byłabym ogromnie zobowiązana. Jak ewentualnie i to, że nasz chłopczyk jest bardzo wysoki, ma dwa metry sześć! I coś w tym sensie dowcipnego. Bo on jest bardzo dowcipny. Ma czterdzieści dwa lata, już od dwudziestu trzech lat jest za granicą, ale nie było

jeszcze takiego listu, żeby coś wesołego nam nie napisał.

- Według życzenia, droga pani, zrobi się - odpowiedział poeta.

Spotkanie w zasadzie już się skończyło, ludzie rozchodzili się, kiedy padło jeszcze jedno pytanie:

- A ile towarzyszył poeta dał na budowę Teatru Narodowego? - zapytał jeden z brygadzystów.

Gdyby nie było tego pytania, całe spotkanie odbyłoby się bez żadnych zgrzytów. Ale to właśnie pytanie wywołało wilka z lasu. Poeta zdjął sweter, podkasął rękawy koszuli, dosłownie rozebrał się do udzielenia odpowiedzi.

- O! Takiego, kochani! Bo ja, drodzy towarzysze, gwizdzę na tę odbudowę i grosza nie dam! Ja mam wstręt do teatru w ogóle, a do aktorów i sztuk teatralnych w szczególności. Niech ci budują Teatr Narodowy, którzy go zniszczyli! Niech ci odbudują ten teatr, którzy odrzucają moje dramaty. Jasne, że nikt nie chodził potem na to, co oni wystawiali!

Po czym poeta przeszedł do niektórych, nie związanych już z odbudową Teatru Narodowego, problemów polityki kulturalnej. Do sprawy ciągnącego się wydawania książek, do kwestii płac redaktorów oraz honorariów autorskich, do zasady opodatkowania, która poetów traktuje na równi z lodziankami i wreszcie do tego, że na Węgrzech poeci otrzymują najniższe stawki na świecie!

Ludzie ze zdumieniem wysłuchali wszystkiego. I w pełni zgodzili się z poetą. Burzliwe oklaski były odpowiedzią na jego namiętne słowa.

- Cholera jasna - mówili rozchodząc się - kto by pomyślał, że ci poeci są tacy! I czegoż to oni nie wiedzą. Wałą prawdę w oczy i niczego się nie boją. Taki to jest w stanie nawet dosłownie wyrazić, co chce dać zamiast pieniędzy na odbudowę Teatru Narodowego... Szkoda, że w naszym zakładzie nie ma takiego człowieka jak ten poeta...

Gdy publiczność opuściła salę, poeta całkowicie się już uspokoił i wyciszył. Znowu byli tylko we dwoje w bibliotece.

- Spieszę się - powiedział poeta - mam dziś jeszcze jedno spotkanie. Tylko tak mogę wyjść na swoje... Jedno spotkanie czy dwa, obojętne, zabiera cały dzień. Więc jak wyjdzie, biorę czasem trzy spotkania... No i honorarium wtedy całkiem, całkiem...

Bibliotekarka dopiero wtedy odkryła, że poeta do tego momentu nie napił się ani łyka coli. Błyskawicznie otworzyła butelkę, rozpakowała paluszki i herbatniki. Po czym zdecydowała się. Na wszystko!

- Proszę pana! To moja, wyłącznie moja wina! Księgowy nie zaakceptował wypłaty za spotkanie. Zdaję sobie sprawę, że powinnam była to powiedzieć panu jeszcze przed spotkaniem. Ale nie mogłam. Proszę mi wierzyć, nie byłam w stanie tego zrobić, zabrakło mi odwagi i sił. Teraz też brakuje mi odwagi i sił. I nie jestem w stanie nic innego powiedzieć i nic innego zrobić niż to, co teraz powiem.

Nigdy w życiu serce nie biło jej tak mocno jak teraz, nigdy nie falowały jej tak piersi.

- Panie poeto, kochany towarzyszu poeto... Proszę mnie przyjąć jako wynagrodzenie za to przepiękne spotkanie autorskie. Jako honorarium. Ja nie mam nic innego do zaproponowania. Tylko siebie. Jak również i to, że oddam się panu z całego serca! Bo wiem, co się poecie należy za takie spotkanie... Ale poza sobą nic panu dać nie mogę..

- Czy pani to poważnie mówi? - zapytał poeta.

Był zdenerwowany, po każdym słowie łykał ślinę i szybko wypił colę.

- A czy można coś takiego niepoważnie zaproponować?

Przecież to wspaniała babka, co za tyłek, co za piersi - szacował w myślach poeta.

- Jeżeli pan się zgadza... to zamknę drzwi od wewnątrz. Nikt nie wejdzie. Powiedziałam już sprzątacze... Przyjdzie dopiero jutro... Ale jeśli pan woli, to możemy pójść do parku. Tu obok... Niech się pan zgodzi, bardzo proszę... Bo wtedy nie będę miała wyrzutów sumienia.

Podeszła do drzwi i dwukrotnie przekreśliła klucz.

- Jesteś doskonała - powiedział nieco później poeta. - Żeby mnie przynajmniej raz udało się napisać taki sonet jaką ty jesteś kobietą...

Za bramą natychmiast i w nieoczekiwany sposób rozeszli się. Bibliotekarka szła akurat w przeciwną stronę.

Poeta wpadł w zastawione przez siebie sidła. Nie miał bowiem w tym dniu drugiego spotkania. Kłamał. W ogóle miał mało spotkań. Zaczął się zastanawiać, jak spędzić resztę wieczoru. Pomyślał o tym, że nie ma takiej kobiety, z którą utrzymanie uczuciowego stosunku - choćby opartego na najczystszej miłości - kosztowało dziennie mniej niż najwyższe nawet honorarium za spotkanie autorskie. Nawet wówczas jeśli człowiek skazany jest na własną żonę.

Jakże więc można by uprościć sprawy... I jakie olbrzymie byłyby z tego oszczędności w kulturze... Ileż w tym kraju jest rocznie spotkań autorskich? A skoro i tak już brniemy w tę słotę i błoto, to te pieniądze można by dać choćby na budowę tego przekłętego teatru...

Ale w jaki sposób zrealizować taką rzecz w skali kraju?

Zdał też sobie w pełni sprawę z tego, że biedny, mały i dotkliwie doświadczony przez los jest jego kraj, ale najdotkliwszą ze wszystkich bolączek jego ojczyzny jest pruderia... Być może właśnie z tego względu nigdy nie zostanie zbudowany Teatr Narodowy.

Mógłby napisać o tym bombowy wiersz. Ale kto go wydrukuje? A on już dawno zrezygnował z pisania takich wierszy, o których wiedział, że nie zostaną wydrukowane.

Przełożył z węgierskiego TADEUSZ OLSZAŃSKI